



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Marcin Biegański

Mój Mikstat

W styczniu 1939 roku na połowie nieba ukazała się czerwona luna. Jedni mówili, że to zorza polar-
na, drudzy, że to znak na ciężką wojnę. Jeżeli to była zorza polarna, to czemu się więcej nie pojawia?

Po aneksji Austrii i zaborze Czech było wiadomo, że następnym celem hitlerowskiej agresji będzie
Polska. Rozpoczęły się przygotowania do obrony ojczyzny. Powstał Fundusz Obrony Narodowej (FON),
na który ludność ofiarowała pieniądze i kosztowności na dobrojenie wojska. Powstały Brygady Obrony
Narodowej, składające się ze starszych roczników rezerwistów. W Mikstacie z mieszkańców miasta
i okolicznych wiosek powstała kompania Obrony Narodowej, która krótko przed wybuchem wojny
obsadziła granicę w m. Chojnik.

Chodziłem z kolegą do magazynu broni kompanii i tam czyściliśmy i smarowaliśmy karabiny waze-
liną. W pewną niedzielę sierpnia pojechaliśmy wozami do Rojowa, by kopać rowy przeciwczołgowe (nie
zdały egzaminu, bo Niemcy nacierali szosami).

Wielkimi krokami zbliżała się wojna. W końcu sierpnia zostały rozlepione na słupach ogłoszenia
mobilizacyjne, a żołnierze rezerwy musieli się zaraz stawić w wyznaczonych koszarach, gdzie zostali
umundurowani i uzbrojeni.

Nastał poranek dnia 1 września. Mimo gęstej mgły widzieliśmy lecące nad Warszawę eskadry
niemieckich bombowców. Koło południa dotarły do naszego miasteczka pierwsze grupy uciekinierów
z nadgranicznych wiosek. Załadowaliśmy na wóz trochę żywności, pościeli i ubrania i o godz. 14-tej
wyruszyliśmy na tułaczkę przez Kalisz, Koło, Łowicz i Kutno w kierunku stolicy. Niedaleko od zbm-
bardowanej stacji węzłowej Barłogi zostaliśmy ostrzelani z karabinów maszynowych przez powracające
bombowce. Później jechaliśmy tylko nocami, bo w dzień nie można się było pokazać na szosie, gdyż
stale była ostrzeliwana z samolotów.

Jadąc wozem dotarliśmy nad samą Bzurę. Stanęliśmy na postój w gospodarstwie odległym od rzeki
jakieś 200 metrów. Z synem gospodarza poszedłem nad Bzurę, aby nałowić ryb. Na przeciwległym
brzegu żołnierze polscy kopali już okopy. Krzycząc przegonili nas i musieliśmy powrócić do domu. Nie
było nic do jedzenia, więc aby zaspokoić głód zerwałem parę śliwek, za co gospodarz mnie skrzyczał.
O zmroku już zostaliśmy ostrzelani z karabinu maszynowego, tak że liście z drzew leciały. Gospodarz,
u którego się zatrzymaliśmy, nie czekał co będzie dalej, tylko załadował trochę gratów na wóz i razem
z nami odjechał. Zostawił swoje śliwki, których nie dał mi zrywać, cały dom i gospodarstwo, na pastwę
losu. Rozpoczęła się, jak się później okazało – "Bitwa nad Bzurą". W tę noc musieliśmy w Puszczy
Kampinoskiej trzy razy zmieniać miejsce postoju z powodu strzelaniny. Po przedarciu się przez las,
jadąc w kierunku Warszawy, dotarliśmy do m. Komorów, gdzie dopadła nas jadąca spod stolicy nie-
miecka dywizja pancerna. Ludzie myśleli, że to Anglicy jadą nam na pomoc. Ja pierwszy zauważyłem

na jednym z aut oznaki niemieckie. Jechali na pomoc swoim wojskom walczącym z Armią Poznań gen. Kutrzeby. Dzięki temu Warszawa mogła się dłużej bronić. Nieprzyjacielskie samoloty latały bezkarnie nisko nad drzewami i bombardowały oraz strzelały z karabinów maszynowych w stronę zgromadzonych w puszczy oddziałów polskich.

Cierpieliśmy głód. Żeby kupić chleba udałem się z kolegami do odległego o 2 kilometry Kampinosu. Tam na dużym placu siedzieli cywile, a wokół nich stali Niemcy z karabinami. Pytaliśmy mieszkańca Kampinosu kto to jest? Powiedział, że są to uciekinierzy z poznańskiego. Usłyszawszy to ruszyliśmy bez chleba z powrotem. Kilka lat później wyczytałem w gazecie „Za Wolność i Lud”, że wszystkich zatrzymanych Niemcy rozstrzelali koło cmentarza. A zatem otarliśmy się o śmierć...

Nie było innego wyjścia – trzeba było wracać w strony rodzinne pod okupację. Gdy dotarliśmy pod Sochaczew, drogę przegradziła nam Bzura. Most drogowy był wysadzony, a wojsko niemieckie przejeżdżało po pontonowym, który sobie zbudowali. Nie wolno nam było na niego wjechać, więc razem z innymi uciekinierami forsowaliśmy rzekę wpraw. Na moście stał Niemiec z aparatem, filmując naszą przeprawę przez rzekę. Sam Sochaczew był bardzo zniszczony przez artylerię, a okupanci rabowali sklepy polskie, ładując materiały na samochody. Widziałem w mieście tysiące polskich żołnierzy, których konwojenci niemieccy prowadzili do niewoli. Rozdawali oni z wozów taborowych sól i inne produkty, aby nie dostały się do rąk wroga.

W drodze powrotnej widziałem ślady stoczonych walk pod Kutnem i Łęczycą. Najbardziej utkwił mi w pamięci obraz, który mnie przeraził i budził zgrozę. Obok szosy leżał lekko przysypany ziemią mały chłopiec z ręką podniesioną do góry, jakby groził mordercom z hitlerowskiej „rycerskiej” Luftwaffe. Spotykaliśmy grupy Żydów, których Niemcy schwytali do naprawy zniszczonych mostów.

Do domu powróciliśmy 21 września równo, po 3 tygodniach tułaczki. W naszym miasteczku też były dokonane pewne zniszczenia przez artylerię niemiecką.

Kompania Obrony Narodowej wycofując się znad granicy, na wzgórzach pod Mikstatem okopała się i otworzyła ogień do zbliżającego się nieprzyjaciela, w wyniku czego poniósł on pewne straty. Za to Niemcy ostrzelali miasto z dział polowych. Żołnierze kompanii dostąpili zaszczytu obrony swojego miasteczka, domów rodzinnych i swoich bliskich.

Konny patrol niemiecki wjechał do Mikstatu 2 września rano, a następnie odjechał do Grabowa. Kompania ON na skutek przeważających sił niemieckich musiała wycofać się za Prosnę. Za nią nadciągnęła dywizja ze składu 8 Armii gen. Błaskowitza. Zaczęła się okupacja niemiecka trwająca 5,5 roku.

W Mikstacie było stosunkowo dużo Polaków pochodzenia żydowskiego. Niemcy wywieźli ich do getta w Koźmiku, a następnie w Kaliszu. Jeden Żyd, Józef Grabowski, pewien czas się ukrywał, ale Niemcy go schwytali i zastrzelili na posterunku policji. W dniu 20 kwietnia 1940 roku, tj. w „geburstag” Hitlera, aresztowano: Biegańskiego Władysława (brata mojego ojca), Bielawskiego Ludwika, Janckiego Leonarda, Kołodziejczaka Edmunda, Pasikowskiego Rocha, Troskę Leona oraz Wawrzyna Nieruchalskiego i wywieziono do obozu przejściowego do Skalmierzyc, a potem do Dachau. Do Mikstatu przywieziono 1,5 tysiąca polskich wygnańców wysiedlonych z okolic Raszkowa. Po kilkunastu tygodniach wywieziono ich do Generalnej Guberni.

W 1940 roku ukończyłem 14 lat, więc wg niemieckiego prawa podlegałem już przymusowi pracy. Pojechałem z ojcem do Ostrowa, żeby w Arbeitsamcie zameldować się do robót w gospodarstwie. Szkoła była otwarta tylko dla dzieci niemieckich – polskie musiały zbierać kamienie po okolicznych polach. Kto posiadał radio musiał je oddać, jak również żarna, śrutowniki i wirówki do mleka. Musiałem też oddać narty, bo dzieci polskie nie mogły ich posiadać. Trzeba było dostarczyć okupantowi kontyngent zboża, żywca i mleka. Nastaly kartki żywnościowe na artykuły pierwszej potrzeby. Na przykład za odstawione mleko nasza 7-osobowa rodzina dostawała kostkę masła (259 gram) na tydzień i można było zemleć 17 kilogramów żyta w miesiącu.

Na wyjazd do innej miejscowości trzeba było mieć przepustkę. Na każdym kroku szykanowała nas młodzież hitlerowska tzw. hitlerjugend. Gdy poszliśmy w niedzielę kąpać się do stawu, położonego w lesie miejskim, zgraja hitlerjugend pogoniła nas, a schwytanych zabrała do swego lagru, gdzie musieli wywozić nieczystości. Mnie natomiast obił po twarzy „folksdojcz”, puszczając mi krew z nosa. Nie można było oddać, bo uderzenie Niemca groziło śmiercią. Najwięcej panoszyli się Niemcy ze Strzyżewa, przemianowanego na Dojczdorf (Niemiecka Wieś). Jeden z nich powiedział mojemu ojcu: „teraz robimy porządek z Żydami a potem z wami!”. Na terenie Strzyżewa działała V kolumna. Przechodziłem z kolegą latem 1939 roku przez wieś, a gdy zbliżyliśmy się do szkoły, w której byli zgromadzeni Niemcy, to nas odegnali żebyśmy się nie dowiedzieli o ich szkoleniu. W okolicy Chynowy wylądował lekki samolot niemiecki, który rzekomo zablądził. Gdy uciekaliśmy 1 września przez Strzyżew Niemcy spacerowali po szosie ubrani odświętnie i czekali na swoich braci w mundurach „feldgrau”.

Ojciec mój – powstaniec wielkopolski – był wielkim patriotą. Gdy wychodził do pracy, żegnał mojego 7-letniego brata słowami: „czołem, czuwaj za wolność”. Był podoficerem rezerwy. W 1941 roku internowano około 30 podoficerów, w tym również mojego ojca. Trzymano ich przez kilka dni na posterunku policji, z zamiarem wywiezienia do obozu zagłady. Na interwencję komisarza Reibarga

gestapo w Łodzi zwolniło ich jako siłę roboczą do prac w mieście. W tym samym czasie zabrano podoficerów i oficerów z Ostrowa Wlkp. do obozu w Oświęcimiu, skąd już żaden nie powrócił.

Masowe wywłaszczenia miały miejsce w okolicznych wioskach. Na szczęście nie objęły one samego miasteczka. Zimą podczas silnych mrozów bezlitośnie wyrzucano Polaków z ich własnych zagród i ciężarówkami, a potem wagonami bydłecymi wywożono do centralnej i wschodniej Polski, tak zwanej Generalnej Guberni. Poza niewielkimi osobistymi pakunkami nie mogli z sobą niczego zabrać.

Jednym z prześladowań były łapanki uliczne organizowane przez policję w niedziele i święta przed kościołem. Na cały powiat ostrowski czynny był tylko jeden kościół rzymskokatolicki w Mikstacie, obsługiwany przez księży Władysława Lisa i Antoniego Strużyńskiego.

Schwytaną młodzież wywożono na roboty przymusowe do Niemiec. Dorosłym zabierano futra i kożuchy dla Wehrmachtu na froncie wschodnim. Do codziennych zjawisk należało ściganie i zamykanie Polaków za nielegalny ubój świń, produkcję masła itp., za co groził karny obóz, a nawet śmierć.

Mimo terroru hitlerowskiego Polacy sabotowali zarządzenia okupanta, ukrywali plody rolne, żeby nie oddawać kontyngentów. Powstał ruch oporu i tajne nauczanie. Mój młodszy brat uczył się potajemnie w zakresie szkoły podstawowej. Ojciec wypisywał i sporządzał „lewe” dokumenty, tzw. „odciski palca”, zakonnicom i ludziom ukrywającym się, którzy chcieli uciec do Generalnej Guberni. Podsuwał te dokumenty do podpisu komisarzowi, a ten je podpisywał.

W sierpniu 1944 roku Niemcy wysyłali ludność polską do kopania okopów na tzw. „enzatz”. Ja zostałem wywieziony do Lubrańca na Kujawach. Spaliśmy po stodołach na wsi. Jedzenie przywozili nam na miejsce pracy. Kopaliśmy okopy strzeleckie i rowy przeciwczołgowe, pilnowani przez młodych strażników z SS. Na nic jednak zdały się te okopy, bo Niemcy nie zdążyli ich obsadzić wojskiem. Mostków na rowach przeciwczołgowych na szosie też nie zdążyli wysadzić, tak że tanki Armii Czerwonej jechały sobie szosą.

Dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia śniło mi się, że jestem w domu i z podwórza spoglądam na wieżę kościelną (mieszkałem obok kościoła). Na zegarze na wieży zobaczyłem godzinę 7.45. Na święta dostałem 3 dni urlopu, na który pojechałem pociągiem do Ostrowa Wlkp., a potem wieczorem już autobusem do Mikstatu. Rano, gdy wstałem wyszedłem na podwórze w stronę bramy i spojrzałem na wieżę kościelną i na zegar znajdujący się na niej. Była dokładnie 7.45. Opowiedziałem zaraz o tym przypadku mojej rodzinie. Do dzisiaj nie mogę tego sobie wytłumaczyć, bo nie myślałem o domu i nie spodziewałem się, że dostanę urlop.

Po powrocie z urlopu, a przyjechałem jeszcze po ciemku, zbliżając się do naszej kwatery zobaczyłem dym wydobywający się z komina, którego przed moim wyjazdem jeszcze nie było. Kwatera nasza znajdowała się w pustym chlewie o ścianach z gliny. Mrozy były wtedy do -20 stopni Celsjusza, a my pod jednym kocem, więc bardzo marzliśmy. Koledzy powiedzieli, że nie mogli dłużej wytrzymać, pożyczili gdzieś piecyk żelazny i w pierwsze święto zrobili komin z rur glinianych. Dymiło okropnie, ale było już dużo cieplej.

W połowie stycznia słychać było dalekie detonacje dział. Ruszyła ofensywa Armii Czerwonej. Hitlerowcy w panicznej ucieczce kierowali się na zachód do „Vaterlandu”. Cywilni Niemcy na wozach przykrytych brezentem jechali z całymi rodzinami. Najwięcej ucierpiały małe dzieci narażone na silny mróz, który wtedy panował. Żał mi tych niewinnych dzieci. Ci co ich do tego doprowadzili, pierwsi uciekali samochodami. Nas wszystkich zgromadzili w pomieszczeniach majątku w Lubrańcu. Były pogłoski, że zgromadzili nas w jednym miejscu, aby wszystkich rozstrzelać. SS-mani zapowiedzieli, że nie wolno się stąd oddalać pod karą śmierci. Pomimo tego ostrzeżenia, widząc jaki już jest bałagan i panika, ja wraz z paroma kolegami wyruszyliśmy w kierunku stron rodzinnych. Na pierwszą noc zakwaterowaliśmy się w opuszczonym gospodarstwie niemieckim. Drugiego dnia rano słychać już było warkot czołgów radzieckich kierujących się na Poznań. Gdy wyszedłem na podwórze obserwując przelatujące samoloty niemieckie, w pewnej chwili, może 2 metry ode mnie uderzył w ziemię pocisk z rkm 12 mm. Prawie cudem uniknąłem śmierci w drodze do domu. Należy zauważyć, że tak jak w 1939 roku strzelali do orzącego chłopa, czy chłopca pasącego krowy, tak i teraz powietrzni piraci hitlerowscy wzięli na cel pojedynczego człowieka – Polaka.

Na skrzyżowaniu szos odległych od nas około 1,5 km, zebrała się ludność miejscowa, aby powitać radzieckich żołnierzy. W pewnym momencie ujrzeliśmy eskadrę niemieckich bombowców. Jeden „stukas” odłączywszy się, zanurkował i spuścił bomby na to skrzyżowanie. Było kilku zabitych i rannych oraz rozbite zostały samochody wojskowe. Niemcy jeszcze potrafili kasać. Między innymi został ranny 20-letni chłopak, sąsiad naszej kwatery. Na noszach przenieśliśmy go przez zamrznięte jezioro do majątku, gdzie miał być opatrzony i pielęgnowany. Na drugi dzień wyruszyliśmy w strony rodzinne. Stojącemu na skrzyżowaniu żołnierzowi ukloniliśmy się ze strachem zdejmując czapki, a on się pyta gdzie byliśmy. My zgodnie z prawdą mówimy, że kopaliśmy okopy. On na nas z krzykiem: „to wy na nas kopaliście okopy?!” Tłumacz tu takiemu, że nikt w te okopy nie wszedł. Później tylko mówiliśmy, że wracamy z robót polnych.

Skończył się horror okupacji. Byliśmy wolni.